Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



Na kaczki — kajakiem. Fot. mjr. G. Skrzyński.

ORGAN

POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 22 (726) 1 SIERPNIA 1933 R.

OD ADMINISTRACJI.

Pozwalamy sobie przypomnieć, że czas już odnowić prenumeratę na II-gie półrocze, III-ci kwartał lub miesiąc sierpień.



P. Prezydent Rzeczypospolitej na polowaniu na kaczki. Pomorze. Fot. W. Pikiel.

NAUCZMY SIĘ STRZELAĆ.

Nie trzeba tego dowodzić, że przecie największy odsetek myśliwych to ludzie z miast, uprawiający myślistwo jako sport, połączony z odpoczynkiem po trudach pracy w zamkniętych murach i z przyjemnością spędzenia kilku lub kilkunastu godzin wśród natury, w towarzystwie podobnych współtowarzyszy, lub psa-przyjaciela.

Nawet zrzeszeni w kołach i towarzystwach myśliwskich mieszkańcy miast, to sportowcy, lecz nie myśliwi we właściwem tego słowa znaczeniu, gdyż nie stykają się oni bezpośrednio i nieustannie z hodowlą i ochroną zwierzyny, nie współżyją z nią stale, a i sposobności do częstego strzelania — choćby do drapieżników — nie mają.

Jakkolwiek nie można tych zorganizowanych sportowców, zamieszkujących miasta, zaliczać dlatego do grupy pasorzytów i „strzelaczy" — i wszak to zrozumiałe, że nie to nam na myśli—jednak jasnem jest, że wykonywanie przez nich szczególnych zadań łowiectwa jest tylko pośrednie, przy pomocy składek, wpłacanych do kas organizacyj, które w imieniu wszystkich zrzeszonych w ten sposób myśliwych wykonują wszelkie obowiązki łowieckie, dostarczając swym członkom możności polowania, z której niejeden de facto nader rzadko korzysta.

Kto wiele polował i poznał dobrze element, składający się na członków polujących stowarzyszeń, miał sposobność zauważyć i przekonać się o tem, jak wielki procent wśród tych prawdziwych sportowców, ludzi najmilszych i doskonale wychowanych, klubowców *sans reproche* — nie umie strzelać.

Ale co to kogo, zdawałoby się, może obchodzić, czy inżynier Adam, doktór Ludwik, albo mecenas Bronisław strzela dobrze, czy też źle, czy przywozi do domu jednego zajączka, czy pięć, albo nie przywozi wcale; czy wystrzelał na polowaniu na kaczki trzydzieści ładunków, trafiając szczęśliwie do jedynego podlota, gdy współtowarzysz zabił aż dwanaście i to lotnych sztuk, zużywszy w tym celu zaledwie osiemnaście nabojów; czy wreszcie wraca zziajany z wrześniowych kuropatw z dziesiątym procentem strzelanych przez siebie ptaków, gdy inni wożą ich całe pęki, rzadko kiedy pudłując.

A cóż dopiero mówić o strzałach do kaczek na przelotach, do śmigłych kszyków, do pędzonych kuropatw, a jeszcze w dzień wietrzny. Większość myśliwych tego rodzaju polowań świadomie unika, zgóry wiedząc o ich dla siebie niekorzystnym wyniku.

Zapewne, samo „sportowanie", oddychanie przytem pełną piersią zdrowem i aromatycznem powietrzem wsi wśród pól i lasów, latem lub zimą, przynosi mieszkańcowi miasta wiele pożytku i zadowolenia, a nawet rozkoszy odpoczynku i duchowej beztroski.

Jednak im gorsze rezultaty, a ambicja myśliwego większa, tem więcej rodzi się na dnie duszy przykrych zawodów i zbytecznej irytacji na wszystko dokoła, co na owo polowanie złożyło się dnia tego.

I tak płynie rok za rokiem, myśliwy wyrusza zawsze pełen nadziei na bliskie swe tryumfy, a wraca najczęściej rozgoryczony do świata i ludzi. A jeśli znajdzie się jeszcze w takiej sytuacji, że ktoś inny nietylko strzela tuż obok szczęśliwie, ma „anlauf",

nabił Bóg wie ile sztuk, a jeszcze z dobroci serca zwróci niefortunnemu myśliwcowi uwagę, że dużo zwierzyny kaleczy, albo za nerwowo strzela, to już oczywiście bunt wzrasta w nim w całej pełni, gotów jest do zwady i szermierki słów, do docinków i ripostów na ślepo — jak w swych strzałach do zwierzyny — byleby nie pozostać dłużnym.

Koniec końców sportowiec nasz przywozi do domu zamiast wypoczętego, elastycznego organizmu i zdrowej, uśmiechniętej duszy, beznadziejne znużenie i cierpki smak rozgoryczenia.

Jednak względy humanitarne powinny w tych rozważaniach odegrać również właściwą rolę. Prawdziwie etyczny myśliwy nie powinien godzić się we własnem sumieniu z tem, że dzięki jedynie swej nieumiejętności i brakowi wprawy w strzelaniu pozostawia w rewirach mnóstwo postrzałków, które zgóry są skazane na łup drapieżników, przedtem jednak męczą się długie godziny, albo i dnie.

W dzisiejszych czasach przytem suma kosztów, zużytkowanych na zdobycie przyjemności myśliwskiej, kosztów najczęściej i niewątpliwie w tych razach niewspółmiernych do osiąganego realnego rezultatu, musi zaważyć na szali, a wszystkie względy razem, powinny naprowadzić nieszczęsnych „pechowców" vel pudlarzy na zastosowanie właściwych środków, aby swe szanse zasadniczo poprawić.

Należy jedynie chcieć. Zapewne, że dla osiągnięcia mistrzostwa w strzelaniu trzeba posiadać koniecznie talent, to „serce", no i spokojne nerwy. Bo też ludzie talentu, wyjątkowych zdolności, uczą się wszystkiego łatwiej i prędzej. Wszelako w tej dziedzinie, jak i we wszystkich innych, praca, wyrobienie i rutyna, jak tego nas uczy życie, dają bardzo wiele i pomagają do wzniesienia się w każdym kierunku nawet ponad przeciętny poziom.

Jedyna zatem rada:—nauczmy się strzelać. Chciejmy to osiągnąć. Wówczas i z tych rzadkich dni ucieczki na wypoczynek do sportu polowania wrócimy lepiej przez Djanę nagrodzeni, bardziej uśmiechnięci i radzi z dobrodziejstw życia, nie trawieni zazdrością, ani wyrzekający na niesprawiedliwość losu, lub brak szczęścia czy „anlaufu". Te bowiem wyjątkowe dodatki pomnożą nasze rozkłady tylko przy prawdziwej umiejętności strzelania.

A taka prosta do tego celu prowadzi droga. Należy tylko wprawić się i wstrzelać do własnej broni. Od tego są wszakże strzelnice i „standy". W kraju naszym strzelnictwo zaczęło rozwijać się od niedawna, czyni jednak szybkie kroki naprzód. Nie trzeba tylko machać nań ręką, lecz stanąć do szeregu „terminatorów" bez wstydu.

Ładna rada—powie ktoś: może i słuszna — ale jakież olbrzymie koszty pociąga za sobą. Ileż ładunków trzeba wystrzelić „na pusto", aby nabrać tej pożądanej wprawy i doświadczenia strzeleckiego. I to w dzisiejszych ciężkich czasach!

Na to, aby ten pozornie słuszny zarzut odpadł, trzeba kalkulować. Jeżeli bowiem, jeżdżąc np. 5 razy do roku na kuropatwy, zabijemy w najlepszym sezonie i na terenie pierwszorzędnym 20 — 30 sztuk, wystrzeliwszy nieuważnie i niezdarnie 150 — 200 razy, to z całą pewnością po takiej porcji sztrzałów, danych na standzie do szybkich talerzyków, bez towarzyszenia emocyj myśliwskich, nieodłącznych w obliczu żywej zwierzyny, oko nasze i ręka tak poprawią się, że ilość pudeł na polowaniu odrazu znacznie zmaleje, a po wstrzelaniu się kilkuset nabojami dojdziemy do niebylejakiej wprawy i poprawy rezultatów myśliwskich. Wówczas zaś nasze koszty w stosunku do zdobywanej zwierzyny zmniejszą się bardzo znacznie, zaraz z początku kompensując tu wydatek na strzelnicę. A nasze zadowolenie, rzecz prosta, wzrośnie wskutek tego wybitnie.

Tosamo odnosi się oczywiście i do strzałów kulowych: wprawa i wstrzelanie się do własnej broni.

Nie trzeba też zapominać, że ostatniemi czasy środki techniczne, jakiemi rozporządzają nowoczesne strzelnice, tak dalece udoskonaliły się, że strzelamy dziś do sztucznej ruchomej zwierzyny (jeleń, kozioł, lis, dzik, szarak), poruszającej się identycznie, jak i żywa, co niezmiernie podnosi wartość ćwiczenia się na strzelnicach.

Niedarmo zagraniczni myśliwi, zamieszkali w miastach, którzy tylko niekiedy oderwać się mogą do sportu polowania, przed każdym sezonem na drobną zwierzynę, dającą sposobność do wielkiej ilości strzałów, idą na strzelnicę i tam sprawdzają swą rękę i oko. W niektórych towarzystwach, prowadzących skrzętnie statystyczne dane z polowań i gospodarkę łowiecką pod hasłem korzyści materjalnych, poszczególni członkowie mają wyznaczoną obowiązkową ilość owych przedsezonowych „wprawek". Jeden musi na standzie wystrzelić 20, inny 100 i 200 razy. Bowiem i talenty są różnej miary i klasy strzelców rozmaite, wymagające jednak zawsze treningu.

Czyż nie warto i u nas zastanowić się nad tem?

Życząc wszystkim myśliwym, aby ich usposobienie po polowaniach było różowsze i myśli jaśniejsze, radzę niechaj rozważą moje skromne uwagi i odwiedzą przed każdym sezonem myśliwskim strzelnicę. Niech towarzystwa prowincjonalne stwarzają we własnych siedzibach standy talerzykowe, tak łatwe do urzeczywistnienia.

Co się tyczy właściwego urządzenia strzelnic, zainteresowani mogą zawsze udać się po wszelkiego rodzaju wskazówki, jak i po regulaminy strzelania do Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie (Nowy Świat 35, tel. 607-98), gdzie będą należycie, wyczerpująco i fachowo objaśnieni.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

DOOKOŁA HODOWLI SARN I ICH ODSTRZAŁU.

Artykuł w nr. 18 Łowca Polskiego „W sprawie hodowli sarn", pióra p. Jana Taczanowskiego, ordynata na Taczanowie, bardzo mnie zainteresował, szczególnie też z tego powodu, że w zupełności podzielam jego wywody i jego spostrzeżenia. Poluję w Wielkopolsce od 60 lat i poznałem bardzo dużo łowisk tutejszych. Przyznaję, że w licznych łowiskach stosunek kozłów do samic jest zły, że jest zadużo kóz, a zamało kozłów, ale znam też łowiska, w których stosunek ten jest zupełnie normalny, nawet wprost idealny, pomimo to żadnej wybitnej różnicy w jakości poroża nie spotkałem.

Przeważnie parostki kozłów w Wielkopolsce są, niestety, słabe, lecz zdarzają się także wyjątki: znam łowiska normalne i anormalne, w których poroże jest bardzo dobre i raz-po-raz można spotkać rogacze wprost kapitalne, o czem mieliśmy sposobność przekonać się na różnych wystawach trofeów łowieckich.

Jakość parostków kozłów, również wieńców jeleni, zależeć będzie, podług mojego przekonania, zawsze od jakości gleby, na której odnośne indywidua wyrosły. Na ziemi z dużą zawartością wapna rosną oczywiście zupełnie inne rośliny, aniżeli na ziemi, w której wapna niema, a taką przeważnie ubogą w wapno ziemię, niestety, posiada Wielkopolska.

Pan inż. H. Knothe, uzasadniając „tymczasowe zarządzenie", pisze, że kozły, trzymane w Wielkopolsce w ogrodzeniach samotnie, lub też w towarzystwie jednej tylko kozy, mają doskonałe poroże. Rzeczywiście, zwykle tak jest. Trzeba tylko o tem pamiętać, że kozły takie prawie zawsze bajecznie są odżywiane. Dostają mleko, owsa ad libitum i najróżniejsze smakołyki, słowem paszę, której na wolności w Wielkopolsce żyjące kozły nie znajdą. Najlepszy to dowód, że jakość poroża, zależeć będzie przedewszystkiem od jakości paszy i zawartości w niej wapna i fosforu i przekonany jestem, że pomimo wszystkich zabiegów i zarządzeń naszym kozłom nie odrosną parostki równie kapitalne, jak np. w ziemi Kieleckiej, Lubelskiej i podobnych, pomimo że i tam znajdą się z pewnością łowiska, w których stosunek liczebny kozłów nie jest idealny.

Byłbym rzeczywiście szczęśliwy, jeżeliby „tymczasowe zarządzenie" t. j. zakaz odstrzału kozłów w Wielkopolsce i na Pomorzu przez 2 lata, miał dać rezultat tak bardzo przez nas myśliwych pożądany. Jeżeli dożyję i o ile mnie p. komornik do tego czasu z mojej własności i z mojego łowiska nie wyprosi, to pierwszy powinszuję p. inż. H. Knothemu i w dowód wdzięczności ofiaruję mu odstrzał najlepszego kozła.

Co się tyczy „tymczasowego zarządzenia", to jestem tego zdania, że takie zarządzenie nie powinno znać wyjątków. Zarządzenie chociaż przykre, jest ogólne i powinno być przez wszystkich bez wyjątku uszanowane. Wnioski o odstrzał kozłów na czas „tymczasowego zarządzenia" bezwzględnie powinny być odrzucone. O ile odnośne władze wnioski takie będą uwzględniały, to skrzywdzą tych myśliwych, którzy zarządzenie szanują, a pozatem całe „tymczasowe zarządzenie" stanie się zupełnie nierealne, a więc bezcelowe *).

W sprawie odstrzału kóz, to jestem również tego zdania, że odstrzał powinien być wykonany rychłą wiosną, to jest w czasie, w którym najlepiej można poznać słabe i chore sztuki. W jesieni zgadzam się tylko na odstrzał słabych młódek. Starsze kozy, chodzące same, a więc wydające się nam jałowemi, można tylko wtedy odstrzelić, gdy **z całą pewnością** wie się, że to kozy rzeczywiście stare i do dalszego chowu niezdatne.

Koza może bowiem stracić młode przez wypadek, lub przez drapieżniki (przeważnie psy), może także być w jednym roku jałową, a za to dać na przyszły rok tem silniejsze potomstwo i byłoby jej bardzo szkoda. Odstrzał w lutym uważam za zupełnie nieodpowiedni. Odstrzał zimą, to radość dla tych, którzy się także niestety do „myśliwych" liczą i polują jedynie dla mięsa, jednak w lutym — marnego. Ile w tym czasie padnie najlepszych matek, ile kozłów, a ile zostanie pokaleczonych, szczególnie jeżeli strzał śrutem do sarn będzie nadal tolerowany, to przykro o tem pomyśleć.

ANTONI UNRUG.

*) Nie podzielamy tego poglądu Sz. Autora. Ci, co prawidłowo prowadzą hodowlę zwierzyny w swych łowiskach, nie mogą być skazywani na pokutę za cudze grzechy i krępowani w dalszem prowadzeniu swej gospodarki łowieckiej. A pozatem w jakim celu skazywać ich na podobną pokutę? Wszak kozioł należy do zwierzyny, która nadzwyczajnie wprost trzyma się swego rewiru i czy będzie w nim dozwolony odstrzał czy nie, w rewirze swym pozostanie, a do sąsiedniego rewiru naogół nie przejdzie i stosunków w źle zagospodarowanych rewirach nie poprawi. (Przyp. red.)

SIUTA, CZY KOZA?

Jak ze sprawozdań członków komisji, opracowującej projekt nowej ustawy łowieckiej, wiadomo, na oznaczenie samicy gatunku S a r n a (Capreolus capreolus) użyto w tekście wyrazu „siuta". Niech mi będzie wolno w tej sprawie zauważyć, co następuje.

Dawne nasze słownictwo łowieckie nie zna takiego wyrażenia. Kozłowski, opierając się na całym, zebranym przez siebie materjale językowym, nie spotkał go w żadnem z miarodajnych źródeł. Na oznaczenie samicy gatunku s a r n a zna tylko wyraz „koza". Znakomity znawca języka łowieckiego, Bobiatyński, pisze wyraźnie: „Myśliwi samca k o z ł e m, samicę k o z ą nazywają". Po Kozłowskim i Bobiatyńskim, którzy słowniki swe pisali na początku XIX stulecia, cały szereg autorów stoi na temsamem stanowisku. Wyraz „siuta" pojawia się dopiero później, głównie w potocznej gwarze myśliwskiej, nie-literackiej, poufałej gwarze codziennej. Przechodzi też do słowników Niedbała (1917) i Małaczyńskiego (1923). Nie było żadnej racji rugować go z tej gwary. Im ona jest bogatsza, tem lepiej. Ale inna rzecz język poprawny, choćby także gwarowy a nie zoologiczny, język, który powinien być zachowany w tego rodzaju tekście, jak tekst polskiej ustawy łowieckiej. Tutaj wyraz s i u t a jest nie na miejscu, tutaj powinien on być zastąpiony przez wyraz k o z a.

Zajrzyjmy do słowników niełowieckich języka polskiego i poszukajmy, co właściwie oznacza wyraz s i u t a.

Linde podaje, że przymiotnik „s z u t y" oznacza coś bezrogiego. Np. kozioł s z u t y, to jest b e z r o g i.

Brückner zna rzeczownik „szuta" i podaje, że mówi się tak w narzeczu o owcy. Cytuje Reja, w którego „Zwierzyńcu" dziecko radzi matce, by „siuty schowała" z obawy przed wilkiem. W ogólniejszem pojęciu, wedle Brücknera, „szuty" to tyle, co „gomoły, bezrogi". Zdrobniale: „siusia, siuchna, siusieczka" znowu znaczy tożsamo, co owca, w gwarze ludowej. Z dodatkiem przedrostka „ko" powstało słowackie „koszut", czyli cap, stąd nazwisko K o s z u t.

W słowniku Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwiedzkiego, znachodzimy następujące objaśnienie: „Siuta, bezroga samica tych racicowych, których samiec posiada rogi (samica jelenia, daniela, sarny, owcy). Zdrobniale: „siutka". Cytat: „Rogacz stał wyżej; troskliwy o swoje siutki, bał się je ostawić dłużej w niepewności zdradnej i wydał hasło do ucieczki" (Wład. Orkan). Dalsze zdrobnienie: siusia, siuśka, oznacza już całkiem co innego, a zacytowany przez Karłowicza wiersz z piosnki ludowej z tem właśnie słowem, nie nadaje się tu do powtórzenia. Kto go nie zna, niech poszuka w wymienionym słowniku pod „siusia".

Z wszystkiego, co przytoczyłem, wynika, że o ile wyraz „siuta" niezaprzeczenie istnieje w polskim języku w ogólności, a w gwarze łowieckiej w szczególności, to jednak w pierwszym wypadku ma on znaczenie raczej obszerniejsze, niż „sarna" i należy do gwary ludowej, a nie myśliwskiej, w drugim zaś wypadku jest wprawdzie synonimem myśliwskiej „kozy", ale synonimem, któremu można przyznać tylko miejsce poślednie.

Prawidłowym wyrazem języka łowieckiego na oznaczenie samicy gatunku s a r n a pozostanie *koza* i tylko ten wyraz może się znaleźć w tekście ustawy łowieckiej.

WITOŁD ZIEMBICKI.

WPŁYW RADJA NA MIGRACJĘ PTAKÓW.

W Nr. 9 łowieckiego perjodyka „Diana" z dn. 15 maja r. b., wychodzącego we Florencji, umieszczony został niezmiernie ciekawy artykuł niejakiego p. Porcospino, dotyczący zupełnie nowego zagadnienia.

Tego jeszcze brakowało! Doczekaliśmy się nareszcie, że radjo, czynnik kultury, pociecha i radość życia dla tylu ,tylu zapadłych zakątków, łącznik ze światem ludzi chorych i samotnych — kto wie, czy nie wnosi zamętu, a może i zguby do żywej estetyki Przyrody.

Nie dość było projektorów współczesnych instalacyj latarń morskich; rozpływających się na powierzchni wody trujących odpadków ropy naftowej, pochodzących z motorów Diesla transoceanicznych okrętów, a tak zabójczo działających na akwatyczne ptaki; nie dość tępienia „kanardjerkami" i w „gabionach", o czem już nieraz pisałem.

Sądząc z nazwiska, prawdopodobnie jeden z naszych rodaków, słynny fizyk francuski G. Lachowski w dziele swojem „Le secret de la vie" szczegółowo analizuje właściwość ptaków reagowania na wpływy radjacyj elektromagnetycznych w czasie ich dalszych przelotów.

Utrzymuje on, że każdy latający twór, bądź to ptak czy owad nawet, podlega potencjonalnemu napięciu elektrycznej energji naładowania fal eterycznych proporcjonalnie do wysokości lotu, oraz do oporu powietrza przy ruchu swego skrzydłowego aparatu.

Na skutek tego ptak, według zdania francuskiego fizyka, przedstawia sobą ni mniej ni więcej jak niezwykle czułą aparaturę radjo-odbiorczą. Suponuje on, że centrum tego odbiornika składa się z drobnych kanalików „cyrkonsferycznych" skupionych w słuchowej strukturze ptasiego ucha.

Otóż, wywodzi dalej ten uczony, rozwijając swą hypotezę, system tych kanalików, dający orjentację kierunku, ogromnie jest wrażliwy na wszelkie wpływy i zmiany fal elektro-magnetycznych. Nawet najbardziej oddalone od niego wibracje, skonsendowane w odbiornikach źródeł koncentracyjnych, oddziałują na ową aparaturę, „prowokując" odrazu konkretne wyniki.

Podobnie, jak okręt zabłąkany wśród mgieł, za pomocą radjogoniometra odbiera fale elektro - magnetyczne, które mu są nadawane i przy ich pomocy trafia na swój właściwy kurs, taksamo ptaki, otrzymujące specjalne fale, przez nie tylko wyczuwane, reagują na nie, obierając potrzebną dla siebie drogę — kierunek swych przelotów.

Powinniśmy uwzględnić, że promienie słoneczne efektem swym w znacznej mierze przyczyniają się do wywołania pierwiastków perturbacyjnych odnośnie fal radjowych. Tensam, identyczny objaw zastosować się da także i do fal, kierujących lotem ptaków. Tem się objaśnia, dość dziwne zresztą zjawisko, dlaczego ptasie przeloty odbywają się przeważnie, a dla niektórych gatunków wyłącznie w nocy. Bowiem właśnie wśród nocy radjokomunikacje fali są czystsze i wolne od wszelkich wpływów promieni świetlnych.

Według tej teorji, jeśli fale, regulujące lot, zmieniają się z całym splotem innych, pobocznych, ptaki, znajdujące się pod ich wpływem, momentalnie tracą cały swój zmysł orjentacyjny i nie mogą dalej określać kierunku swego lotu. Stwierdzono to drogą doświadczalną, a mianowicie: w okolicach Valencji w Hiszpanji, w miejscowości Paderno, w dniu 2 lipca 1924 roku zademonstrowano wylot stada gołębi pocztowych akurat w czasie, gdy sąsiadująca stacja radjowa zajęta była swą pracą transmisyjną. Cóż się okazało? Całe stado gołębi odrazu straciło wszelką orjentację. Można było obserwować je, krążące bez celu w powietrzu, a nie mogące się zdecydować żadną miarą, na obranie potrzebnego kierunku. Dopiero gdy antena zaprzestała swej pracy, gołębie, jak gdyby raptownie odnalazłszy swą drogę, odrazu odleciały w należytym kierunku do gołębnika.

Fakty podobne sprawdzane były, przez grono uczonych, oraz przez organy gołębio - pocztowe hiszpańskie.

Doświadczenia indywidualne: gołębnik znajdował się w odległości 8 kilometrów od stacji nadawczej i wyloty gołębi odbywały się w przerwach trzyminutowych. Stacja pracowała podczas przelotów ptaków na falach różnych długości. Widziało się przy tych warunkach identyczne zjawisko: kompletną niezaradność ptaków podczas pracy stacji nadawczej, która po kilku minutach ustawała li tylko na skutek przerwy transmisyj.

W listopadzie 1926 r. odbywano te same eksperymenty, jak również w maju tegoż roku w Niemczech, w miejscowości Krentzenach — także pod kontrolą naukową. Zastosowano przytem jeszcze jeden nowy kontrolujący czynnik. Radjostacja została umieszczona w pół drogi trasy lotu, pracując w całej pełni podczas przelotu ptaków. Ptaki leciały normalnie aż do zetknięcia się z tym punktem. Zbliżając się do niego, odrazu „szalały" oczywiście wobec działania fal elektro - magnetycznych. Niektórym osobnikom tylko, nieco dalej od tej strefy przelatującym, udawało się przezwyciężyć zgubne działanie fal. Natomiast po zaprzestaniu nadawania wszystkie ptaki odzyskiwały natychmiast normalny zmysł orjentacyjny.

Oczywiście, że te same pobudki, kierujące lotem gołębi pocztowych, mają miejsce u wszystkich ptaków podczas ich przelotów sezonowych, gdyż niema naukowej zasady, żeby wpływ fal na lot gołębi różnił się w zastosowaniu do odmiennych gatunków.

Względem zaś gołębi tak dobitnie został potwierdzony i to drogą eksperymentalną. Ergo: zastanawiając się nad tem, że coraz powiększająca się, bajeczna ilość anten dniem i nocą zapełnia przestworza eteru swemi radjofalami — musimy dojść do smutnego przekonania o całym ogromie fatalnych skutków, utrudniających przeloty rodu ptasiego. Do tylu innych przybywa jeszcze jeden czynnik dezorganizacyjny, a nawet destrukcyjny.

Kto wie, jakie zmiany, że tak powiem, w psychice i bezwiednej nieraz „mentalności" naszych migratorów mogą wywołać zamieszki eterowe? Jaki system ochronny stworzy sama przyroda?

Zresztą relata refero — uczeni niech decydują o rzeczywistej realności teorji francuskiego fizyka.

Jednakże tak wysoce pożyteczna instytucja, jak „Conseil International de la Chasse", która już zastosowała cały szereg środków ratowniczych w niejednem zagadnieniu, niech się zastanowi i nad tym problemem.

My zaś bacznie śledzić winniśmy za każdym przejawem troski o dalszy byt naszych tranzytowych zwierzostanów na szpaltach prasy łowieckiej całego świata i tem większą opieką otaczać swe rodzime, nigdy nie opuszczające nas gatunki.

ADAM RZEWUSKI.

OSTATNI STRZAŁ.

Źle się czuł tego lata nasz kompan myśliwski Fredzio. Zazwyczaj wesół i krotochwilny, obecnie najwyraźniej zezował w kierunku księżej obory. Całkowity sezon zajęczy spędził był w łóżku, chorując na rozszerzenie czegoś tam obok serca i zamiast strzelać majowe kaczorki na błękitnych od niezapominajek bagienkach — brał zastrzyki strychniny i był nią tak naładowany, jak powiadał, że co który pies go powąchał, to już po nim. Była nawet wersja, że miejscowe T-wo Racjon. Pol. miało zamiar wydelegować Fredzia w charakterze ekspedycji karnej do jednego z odleglejszych, dzierżawionych przez siebie terenów, gdzie było zatrzęsienie psów.

W dnie słoneczne całemi godzinami wysiadywał w parku, ściągając jakoby muchy z całego miasta, co poczytywał za wielce zły omen („Muchy już na mnie siadają").

Wprawdzie — jak się okazało — wśród tej melancholji i depresji, nawiązał bezcenną znajomość z guwernantką mecenasa Brodawki — smukłą dziewicą, nadewszystko lubiącą lody śmietankowe i filmy z cowboyami. Interpelowany przez nas, tłómaczył się niewinnie, że zawsze miał słabość do „dziatek", te zaś „od mecenasa" są nader miłe. Guwernantka? Guwernantka — to tylko konieczny dodatek, jak torebka do winogron. Mój Boże! Wiara, jaką obdarzamy myśliwych — w dodatku chorych na serce — winna być tak pobłażliwa, podatna i rozciągliwa, jak koszulka trykotowa. Będziesz się z takim kłócił, żeby dostał ataku i umarł? Niech mu tam będzie!

Około połowy lipca, gdy miejscowy garnizon powrócił z jakiegoś „małego strzelania" i żwawi, niby żywe srebro, oficerkowie zaczęli przetrząsać cieniste aleje miejskiego ogrodu, Fredzio jakoś się zniechęcił do owych „dziatek", pozostawianych mu w tym okresie ad libitum przez guwernantkę, jako że ona spotkała szczęśliwie swego kuzynka, który był „przy artylerji" podporucznikiem. Z konieczności tedy Fredzio (bo osamotnienie ogromnie sprzyja myślowym procesom) jął rozmyślać o polowaniu na inną — równie sezonową — zwierzynę. Na dubelty oczywiście, które wszyscy mieliśmy w nadzwyczajnej estymie. Jakkolwiek okolica była wybitnie bagnista i nawet rynek w naszem miasteczku mógł po deszczu uchodzić za małą Wenecję — przecież przeloty dubeltów były nader słabe i stosunek tych poważnych i tłustych konserwatystów do hałaśliwych kszyków był akurat taki, jak rzymskich katolików do żydów na miejscowej czarnej giełdzie w samo południe. Ale w dotyczącym roku pańskim nalot dubeltów był nadspodziewany. Czy wskutek słotnego lata zostały one poprostu „wylane" ze swoich miejsc ulubionych, czy urodzaj na nie był obfitszy, niż normalnie, — dość że długonosy cichaczem obsiadły podmiejskie łęgi — i to bez wielkich grymasów, aby czemprędzej przeprowadzić miły proces dokarmiania aż do zupełnego bezruchu.

Jak tu wytrzymać wobec tak jawnej prowokacji? Toteż pewnego południa Fredzio wybrał się wraz z Lordem na owe dubelty — naturalnie w jaknajgłębszej tajemnicy przed swoim lekarzem.

Łąki były odległe zaledwie o pół godziny pieszej (oczywiście nie mówię o tabetykach) drogi od miasta i rozciągały się tuż za elektrownią miejską i nadobną rzeczką Miodunką. Mijając pasmo niewielkich pagórków za wspomnianą rzeczką (dawne śmietniki miejskie, ujęte w romantyczną nazwę „Zamczysko"), Fredzio już opatrywał dubeltówkę, bo oto wionęły nań rozkosznie rozległe, zrzadka porosłe wikliną i sitowiem łąki. Szerokie tchnienie, kochane!

Popołudnie było pogodne i jakkolwiek słońce skrywało się poza dość grubą oponą chmur, wszelako w cichem powietrzu więcej było błękitu, niż szarości. Kopuła nieba przypominała wnętrze olbrzymiej muszli perłowej. Prawdziwie myśliwski dzień — dobry do strzału i deptania! I kiedy Fredzio, krocząc wolniutko w myśl przepisów lekarskich, uczuł wreszcie pod nogami bezszelestnie uginające się podmokłe mchy łąkowe — wtedy zapomniał o całym świecie i o swej chorobie. Dostrzegał jeno skrawek łąki z buszującym Lordem, któremu wolno było — z uwagi na to, że prawie nigdy nie płoszył zwierzyny — pracować w dowolnej odległości od swego pana. I teraz chwilami gubił mu się z oczu, niby wsiąkając w bladozieloną rozlewną mgiełkę skrzypów, lub rudawą — mietlic. Może już trawy falowały w dreszczu przedwieczornym, może już wstawały opary łąkowe?

Tu Fredzio stwierdził, że Lord posiada już nazbyt ochronne barwy — ogólny szaro - rudawy ton, nakrapiany niewielkiemi plamami bronzowemi. Jakiś deresz, czy tarant? Dojrzał go w końcu tuż za krzakiem łoziny. Stójka! Lord znagła widocznie zastygł — w pełnym galopie: obie nogi przednie wyciągnięte, podcięty ogon niemal pionowy, jak wykrzyknik, łeb skręcony paralitycznie na bok i nos celujący w trawę „tuż pod nosem". Z boleśnie ściśniętem, to znów rozbieganem sercem Fred zdążał ku niemu, brnąc przez zalewy, wpadając w jakieś zdradzieckie jamy i rowy zamaskowane.

„Waruj, piesku, waruj" — nawoływał gorączkowo po drodze, widząc, że wyżeł w pewnej chwili odwrócił ku niemu głowę, jakby ostrzegając, że sprawa wymaga pośpiechu. „Zrobiłem, co mogłem, ale w dzisiejszych czasach za nic niepodobna ręczyć". Nie znaczyło to bynajmniej, że Lord, upewniwszy się, że jego pan nadbiega, mógł zepsuć sobie zabawę. I panu też. Mało to nabrał flintpasem, specjalnie w tym celu odczepianym od dubeltówki? Rozumowanie jego było proste: „oto o krok siedzi ta pachnąca kula piór i tłuszczu. Owszem, znam ten typek. Nim go pochwycę — ucieknie. Ale Fred to sprawi, że on zatrzyma się w locie i spadnie. A wtedy zapoznam się z nim bliżej".

— Waruj! — dobiegł go zdławiony, drgający szept. „Zrobione, tylko sam się teraz pilnuj. Nie zrób mi wstydu na początek"...

— Pyf! — usłyszał za sobą i jednocześnie głuche, oddalające się „fiurrr" dubelta. Skoczył dziarsko naprzód za ulatującym zapachem (tego już nie dawał sobie wytłómaczyć), usłyszał suchy trzask i oto już chwytał niemal w powietrzu koziołkującego tłuściocha. Uczuł posmak krwi, więc zwarł kurczowo szczęki i zawrócił w lansadach z ptakiem ku swemu władcy. O, szczęśliwy momencie! Zwykle on (Fred) wyciągał ku niemu rękę, którą tak lubił, i klepiąc go po głowie z uśmiechem mawiał: — lekko, lekko... daj tu!

Lord też śmiał się po swojemu, machał zawzięcie kusym ogonem i lubił się nieco podrożyć. Ale co to? On (Fred) stał przez chwilę dziwnie zadumany ze zbielałą twarzą. Z pod ciężkich, zwierających się powiek spojrzały — niby w bezdną głębię — matowe, gasnące źrenice, półotwarte usta wydały ni to jakiś urwany pogłos, ni to szept. Nagłym, już obcym ruchem pochylił głowę na piersi, zachybotał się, zawahał i zwalił się bezwładnie w tył, szeroko rozrzucając ręce...

— — — — — — — — — — — — — —

— No, no! — usłyszał Fred czyjś miły i dźwięczny głos. — Nie dajmy się! W silnych ramionach unosił go smukły młodzieniec o błękitnych oczach i pogodnej twarzy. Moderunek niby myśliwski, ale niedzisiejszy: kaftan skórzany, takież obcisłe spodnie, sandały, koł-

czan, pas nabijany, krótki mieczyk... Gdzie go widział, kiedy?

— Już dobrze, co?

— Tak, wyszeptał, ale.... (Fredzio zawsze był małomówny).

— Hubertus sum — ciągnął z miłym uśmiechem — wybiegłem oto po ciebie. Jesteś już po wielkiej zmianie, poza życiem i śmiercią. Wkrótce opadnie z ciebie brzemię pamięci rzeczy ziemskich, jak opadło brzemię twego ciała. .

— Tyka mnie — pomyślał Fred — no; ale to święty...

— Bądź dobrej myśli... poluje się i tu... w czwartym wymiarze. Jutro łowy na żubry, które tu niemal wszystkie przeniosły się do nas z ziemi. Niekiedy i tur się trafi, ale te przeszły od nas do dalszych rejonów, bo im trochę dokuczaliśmy — tu sympatyczny młodzieniec uśmiechnął się wojowniczo.

— Droga Diano! — zwrócił się do tęgiej, dość przewiewnie odzianej brunetki, pilnie coś piszącej w ogromnym foljale — wciągnij na listę naszego kochanego Freda i zaopiekuj się nim. Serwus! do jutra!

— Ehe — he — pomyślał Fred — mitologiczne figury .. widzę, że i tutaj...

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

I gdy nasz kompan u progu lepszych, że się tak wyrażę, terenów łowieckich załatwiał swe sprawy meldunkowe — jego dość miła, czterdziestokilkoletnia, tak nagle porzucona, doczesna powłoka leżała sztywna i bezradna wśród usypiających łąk. Zapewne było jej miękko i zacisznie wśród mchów łąkowych, ale może nazbyt wilgotnie, bo i opary jęły się podnosić ,niby z kadzielnic.

Słońce, tuż przed zakończeniem dziennej wędrówki, chciało z przyzwyczajenia ogarnąć całą ziemię swem płomiennem spojrzeniem, ale spóźniło się krzynę, więc tylko z pod gumowych kół jego złocistego samochodu (półmyśliwski „Ursus" 100HP) wzbił się purpurowy tuman pospolitszego eteru, zalegającego grubą warstwą bardziej uczęszczane gościńce niebieskie. Zaszło tedy „na pogodę", jak mawiają rolnicy. Natomiast księżyc, chociaż mu to nie bardzo wypadało z racji jego poprawnych stosunków z krajową stacją meteorologiczną, która akurat ogłosiła „urbi et orbi" zaćmienie tegoż, — rzucił był w ostatniej chwili nudną zabawę w chowanego i wylazł sobie na niebo w całej okazałej pełni...

Żarliwi i łacniej poddający się sugestji czytelnicy gazet mogli jednak w tem widzieć właśnie zaćmienie, inni ujrzeli księżyc „w lisiej czapce", a zwyczajny śmiertelnik poprostu ziewnął trzykrotnie i zasnął na jego widok dokładnie, jak się zasypia na widok dziarskiej połowicy bezpośrednio po srebrnem weselu. Owóż księżyc, żywo przypominający kulę zielonkawego sadła, jaką dobra gospodyni zawiesza u pułapu w swej komorze, wymacał i spenetrował wszystko. Widział, jak Lord powrócił zziajany z dość długiej wędrówki wśród łąk, gdzie najprawidłowiej w świecie inscenizował polowanie. A potem pędem okładał szmat łąki, ściągał, dochodził dubelta górnym wiatrem, wystawiał go, oglądał poza siebie i, nie widząc Freda, dyktował sobie „pyf!", gonił na oko za ulatującym ptakiem i albo przepędzał go za dziesiątą granicę, albo po drodze zwracał swój wszystkowiedzący nos w kierunku nowych prądów i nowych pokus. Tak wypłoszył i krzyżówkę (Fredziu, Fredziu!), która zapadła sobie na kolacyjkę w pełnem ślimaków, pijawek i innych delikatesów rozlewisku.

Widział księżyc, jak mała nakrapiana i zielononoga kurka, która często trafia się w wilgotnych łąkach, wyłoniła się nagle z trawy tuż obok leżącego Freda, popatrzyła nań swemi czarnemi paciorkami, podumała chwilę i z okrzykiem „krr"—pobiegła wzdłuż błyszczącej lufy porzuconej broni — ku swoim tajemniczym zajęciom. Lord powrócił do swego pana bokami, bo nie był pewien, czy sprawa samowolnego urlopu nie zakończy się laniem. Przywarował wtedy w przyzwoitej odległości i nastawiwszy uszu — w t. zw. zbrojnem pogotowiu do ucieczki — dłuższą chwilę badał sytuację. Nic, cisza! Uspokojony zbliżył się, merdając skrawkiem ogona i, ażeby okazać niewygasającą gotowość do usług, schwycił w zęby skostniałego już dubelta i potrząsnął nim kilkakrotnie. Zastanowił go specyficzny, nieco śledziowaty zapach kurki, więc porzucił dubelta i powłóczył nosem po wykreślonym przez nią torze. Ale dał spokój — zmęczony już był potężnie... zresztą wilgoć, chłód... tu Lord otrząsnął się hałaśliwie raz i drugi i wydał z siebie rodzaj ziewnięcia. Znaczyło to — czas do domu! Znów cisza. Obwąchał swego pana dokładnie, zastanowił się, polizał rękę kilkakrotnie, wtulił nos w napoły rozwartą dłoń. Zrozumiał wszystko. A wtedy to przysiadając, to odbijając się, niby piłka, na swych stalowych nogach, jął gwałtownie szczekać na trwogę.

I każdy pies, którego dobiegł ten głuchy, rozpaczliwy zew, przysiadał, wznosił łeb ku księżycowi i donośnem wyciem solidarnie podawał ponurą wieść dalej i dalej.

Zaspokoiwszy swą ciekawość, księżyc nagle przybladł, zmalał i powoli jął się wycofywać z widowni. W jego lunatycznej poświacie przedmioty, pozornie przytwierdzone na wieki wieków do jednego miejsca, zaczęły rozłazić się po świecie i nawet—o dziwo! — można było przysiąc, że pewien kierz łoziny, rozczapierzywszy się, jak tokujący cietrzew, nagle podskoczył i z szumem przewiał nad szeroką strugą, płosząc kilka kszyków. No — ale już noc zawisła nad ziemią, zaś bodaj najstarszą zdobyczą filozofji jest aksjomat, że „noc ma swoje prawa". Niedalekie miasto zamrugało światełkami: pojawiły się one narazie sporadycznie, później wystrzeliły tu i ówdzie całe bukiety lub girlandy — rzekłbyś gwiazd, nanizanych na druty telegraficzne. Wkrótce całe miasto zajaśniało, jakgdyby mleczna droga zalegała na ziemi.

W tym czasie na dwóch szkieletach końskich, dość dokładnie ogryzionych przez wilczy ząb czasu, zaś tu i tam dla niepoznaki obciągniętych połataną i wytartą skórą — ściślej na chabetach, popędzanych piętami w puste brzuchy, wyłoniły się dwa ludzkie cienie. Byli to dwaj piaskarze, których nieskomplikowany proceder polegał na tem, że trzeba było nieznacznie przedostać się do wiadomego miejsca w ordynackich lasach, nabrać furę piasku i co pary w bokach rwać do traktu. Tu można już było zwolnić, wypocząć i poważnie wjechać do miasta „z towarem" na sprzedaż. Dostarczało to im bądź co bądź nieco silnych wrażeń. Teraz jechali wypocząć na łonie natury i podpaść szkapy na magistrackiej łące.

Biedny człowiek musi poniekąd nakładać na bliźnich pewne podatki bezpośrednie.

Cienie przystanęły.

— Popatrzno Józek, co ta cholera pies tam ma? Tchórza obrabia, czy co?

— Może — odparł drugi — dajno bata — pójdę zobaczyć...

Po chwili przybiegł zdyszany.

— Jezu — toż tam leży zabity! całkiem ci się nie rucha, a głowa to już w wodzie po same oczy. Mówię ci — ja go trocha znam — to nizinier, czy prefesor... Wyrywajmy do policji! Prędzej!

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

I tak mieliśmy pewnego dnia lipcowego pobrzeb naszego kochanego Fredzia. Był na nim i Lord poczciwy i wierny.

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI.

Ze sprawozdań delegatów powiatowych.

Z POWIATU OLKUSZ.

W związku z wydaną przezemnie odezwą do myśliwych w powiecie, nawołującą do zrzeszenia się w jedną powiatową organizację myśliwską i skomasowania wszystkich obwodów, jako warunków do zaprowadzenia racjonalnej gospodarki łowieckiej, odbyły się w niach 1, 12 i 25 marca b. r. zebrania myśliwych w okręgach: Wolbrom, Pilica i Skała.

Na zebrania powyższe przybyło 50% zaproszonych, 18% usprawiedliwiło swe nieprzybycie, wyrażając zgóry solidaryzowanie się z powziętemi uchwałami, zaś 32% to ci pseudo-myśliwi, dla których hasła i idea łowiecka są obce.

Bardzo sympatyczne wrażenia wywiozłem z Wolbromia i Pilicy, gdzie widać było dużo zainteresowania i dobrej woli, o czem świadczy jednogłośnie uchwalona i podpisana przez obecnych rezolucja.

Rezolucja ta wskazuje najlepiej na zrozumienie sprawy przez większość tamtejszych myśliwych i daje gwarancje, że nietylko rozpoczętą pracę da się uskutecznić, ale że w gronie tak uświadomionych myśliwych, ci pseudo-myśliwi, odosobnieni od elity myśliwskiej, skazani są, ku całkowitemu zadowoleniu Św. Huberta, a radości prawdziwych myśliwych — na wymarcie.

Niepochlebnie natomiast przedstawia się sprawa na terenie okręgu Skała, gdzie — pomijając już fakt bardzo słabej frekwencji na zebraniu, przyczyną czego było tygodniowe prawie opóźnienie doręczenia poczty, która szczególnie w bardziej oddalonych wioskach do rąk adresatów dostaje się po odleżeniu się w urzędzie gminnym, a potem u sołtysa, — spotkałem się z przygotowaną zgóry akcją, przeciwstawiającą się jakiemukolwiek zrzeszeniu, zainicjowaną przez pp. gospodarzy tamtejszego zebrania.

Nie wymieniam narazie nazwisk pp. gospodarzy zebrania w Skale, gdyż mocna replika referenta łowieckiego p. Stan. Podsiadło wzruszyła sumienia tych panów i załamała ich nieuzasadniony i egoistyczny opór, a — być może — naprowadzi ich także na właściwą drogę tembardziej, że dwaj z nich to dopiero świeżo upieczeni myśliwi, którzy nie mieli jeszcze czasu i możności wczuć się w istotę łowiectwa.

Dziwić się tylko należy, że ten trzeci, doświadczony myśliwy, nie potrafił nowicjuszów sztuki łowieckiej opanować, bo nie chciałbym przypuszczać, że to on ich na niewłaściwą drogę kierował.

Poprzestając więc na stwierdzeniu faktu niewywiązania się z roli gospodarzy zebrania, z zadowoleniem zaznaczyć muszę, że w rozmowach z pojedyńczymi myśliwymi z tamtejszego okręgu, wyczuwa się inne zupełnie tendencje i dlatego też w okręgu tym odbędzie się jeszcze jedno zebranie, którego zorganizowanie powierzy się tym razem bardziej odpowiednim jednostkom.

Po wyborze delegatów z okręgu olkuskiego, nastąpi zjazd delegatów ze wszystkich okręgów, który poweźmie już obowiązujące uchwały.

Z dotychczas przeprowadzonych dyskusyj nie ulega zdaje się wątpliwości fakt zapisania się prawie wszystkich myśliwych w powiecie do Polskiego Zw. Stow. Łowieckich.

Co do zrzeszenia powiatowego i skomasowania obwodów łowieckich, to ta sprawa przeprowadzana być musi etapami, ze względu na stopniowe wykupowanie terenów łowieckich, na co T-wo odrazu zdobyć się nie może.

Do tej pory zgłoszono 24 obwody.

O dalszych postępach pracy nadeślę sprawozdanie we właściwym czasie.

Poniżej podaję tekst rezolucji, powziętej na zebraniach myśliwych w okręgach Wolbrom i Pilica:

„Zebrani w dniu 11 marca 1933 r. myśliwi okręgu Wolbrom, obejmującego gminy: Wolbrom, Dłużec i Jangrot, oraz w dniu 12 marca tegoż roku myśliwi okręgu Pilica, obejmującego gminy: Pilica, Żarnowiec, Kidów, Kruczyce i Ogrodzieniec, na zwołanych przez delegata powiatowego Pol. Związku Stow. Łowieckich na powiat olkuski, p. Stan. Chodorowskiego zebraniach i w obecności referenta łowieckiego starostwa powiatowego p. St. Podsiadło, uchwalili jednogłośnie:

1. wyrazić uznanie Zarządowi Polskiego Związku Stow. Łowieckich za jego dotychczasową wytrwałą, konsekwentną i owocną pracę przy stwarzaniu warunków dla racjonalnej gospodarki łowieckiej w kraju i obdarzyć go całkowitem zaufaniem we wszystkich poczynaniach, jakie dla dobra łowiectwa polskiego podejmuje;

2. przystąpić do powiatowego zrzeszenia myśliwych, stwierdzając, że jest to jedyna droga do zaprowadzenia prawidłowej gospodarki łowieckiej w powiecie;

3. za zaczątek zrzeszenia powiatowego, uważać T-wo Praw. Myśliwstwa w Olkuszu, mające za sobą doświadczenie i kilkoletnią pracę;

4. na każdym kroku zwalczać i potępiać akcję, zmierzającą do rozbicia powiatowego zrzeszenia myśliwych, jako działanie destrukcyjne i godzące w przyszłość gospodarki łowieckiej;

5. na delegatów do szczegółowego opracowania programu, regulaminu i budżetu powiatowego zrzeszenia myśliwych, powołano pp. Pilarskiego, Tymienieckiego, Kotnisa, Antonowicza, Kwapisza i Kulkę z okręgu Pilica, oraz pp. Garbulińskiego, Gulę i Wilamowskiego z okręgu Wolbrom.

Podpisali: Dr. Szczechura, Paulewicz, Staszkiewicz, Recki, Garbuliński, Gula, Machajski, Wilamowski, Farjaszewski, Kwapisz, Pilarski, Antonowicz, Starzyński, Ihnatowicz, Isaak, Kotnis, Szwej, Koll, Pełka, E. Ihnatowicz, Szpak, ks. Iwiński, Grela, Zerykier, Lipka, Chełchacz, Czapligo, Szostek, Mola, Kutner i 5 podpisów nieczytelnych".

STANISŁAW CHODOROWSKI
Delegat P. Z. S. Ł.

PO VIII NARODOWYCH ZAWODACH STRZELECKICH

Słów tych parę pragnę napisać nie jako sprawozdanie z zawodów, lecz raczej jako refleksje, jakie nasuwają się, patrząc na największą imprezę sportu strzelecko-myśliwskiego.

Zacznę od strony czysto technicznej, od urządzenia strzelnic i zaraz muszę zaznaczyć, że strzelnice stały na wysokości zadania i tym, którzy się tą sprawą zajmowali, należy się pełne uznanie. Były wprawdzie drobne niedociągnienia, np. tor dla jelenia, dzika i zająca był może zbyt prymitywnie zbudowany, co powodowało częste wykolejanie się wagonika, oraz zmusiło kierownika technicznego do zmontowania aparatu, — czegoś w rodzaju sprężynowej kołyski, by zając się nie przewracał od samego wstrząsu; są to wszystko jednak tylko drobnostki, które pokrywała całkowicie dobra wola i praca kierowników.



Por. Kaz. Zalewski, mistrz Polski 1933 w strzelaniu do jelenia.

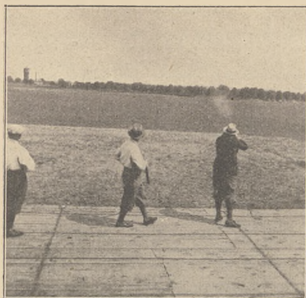
Fot. K. Kamieński.

Obsługa pozostawiała już dużo więcej do życzenia, lecz ponieważ byli to żołnierze dorywczo do niej wzięci, a nie robotnicy-specjaliści, trzeba było z tem pogodzić się.

Przechodząc kolejno całą organizację, muszę wspomnieć o sędziach, którym należy się pełne uznanie i podziękowanie, a w szczególności sędziom, których bliżej mogłem obserwować, mianowicie myśliwskim Pp. Kamieński i Kęszycki dali z siebie maksimum wysiłku i poświęcenia, urzędując często po 6-ej; tem więcej jest to podkreślenia godne, że z wyjątkiem pp. Górskiego i Staszewskiego reszta zgłoszonych sędziów myśliwskich całkowicie zawiodła tak, że chwilami trzeba było prosić do pomocy sędziów ze strzelnicy wojskowej

Jeśli zawadzę tu o zawodników, wśród których i ja znajdowałem się także, muszę z przykrością stwierdzić brak sportowego wyrobienia, czego dowodem częste reklamacje, niezadowolenia, a nawet obrazy na sędziów, którzy, jak już zaznaczyłem, stali w zupełności na wysokości swego zadania, byli może tylko zbyt pobłażliwi i łagodni, by z miejsca podobnych objawów nie ukrócić. Zawodnicy powinni raz na zawsze wiedzieć, że sędzia jest nieomylny, choćby to miało być z ich krzywdą; reklamować można, ale zawsze za siebie, nie zaś za sąsiada.

Najciemniejszym jednak momentem zawodów było ich zakończenie i rozdanie nagród i żetonów. Tu zawiedliśmy się kompletnie, bowiem 1) nikt z myśliwych nie wchodził do komitetu nagród, wskutek czego było ich zamało i wartość ich artystyczna przedstawiała się słabo, 2) nagrody, jakie dostaliśmy za strzelania myśliwskie, nie były lepsze, niż te, jakie były na tegorocznych zawodach międzykorporacyjnych. Żetony były grubo gorsze, gorsze nietylko od tych korporacyjnych, ale nawet od żetonów, dawanych przez „Pocisk" dwa lata temu na strzelaniu reklamowem.



Strzelanie do rzutków. Od lewej: J. Kiszkurno, mistrz Polski 1933, St. Czerski i K. Łyskowski.

Fot. K. Kamieński.

Czy Komitet zawodów nie mógł iść śladem „Pocisku" i zamówić w mennicy państwowej porządne medale? Przy obecnej cenie srebra i bronzu można to było zrobić bardzo porządnie i efektownie, a nie dawać uczestnikom, którzy wydają po 700 i więcej złotych na zawody, blaszek, z których obłazi rysunek i litery!

Wstydzić się wypada takich nagród i żetonów, nie mówiąc już o tem, że zachodziły wypadki przyznania nagród nie tym, komu się one należały. Mam jednak nadzieję, że na przyszłe zawody wszystko to zostanie zmienione i nie będzie więcej tych chmur nad strzelnicami!

H. TYSZKIEWICZ.

KŁUSOWNICTWO.

(zet) W połowie lipca b. r. w powiecie Jarocin, w miejscowości Kajew zdarzył się bezprzykładny wypadek kłusownictwa, połączonego (jak zresztą bardzo często) z dokonaną przez przyłapanych przestępców zbrodnią z premedytacją.

Trzech młodych rolników udało się na tereny wymienionego majątku na kłusownictwo. Nastąpiło spotkanie z obchodzącym teren polowym Lisem, uzbrojonym w dubeltówkę. Kłusownicy ukryli się, lecz jednego z nich, Nowaka Kazimierza z Bielaw polowy zdążył spostrzedz i poznać.

Gdy Lis nakazał mu złożyć jego broń na ziemię i wznieść ręce do góry, ten uczynił to bez oporu, lecz kiedy polowy podszedł i schylił się po porzuconą na ziemi strzelbę Nowaka, padł strzał, dany przez jednego z niezauważonych przez Lisa towarzyszy Nowaka z ukrycia i ugodził polowego w plecy.

Polowy, nie straciwszy przytomności począł się szamotać z występującym już teraz agresywnie Nowakiem, podczas tego przypadkowo padł strzał z dubeltówki Lisa, trafiając w pierś kłusownika. Obu rannych przewieziono do szpitala w Pleszewie, gdzie Nowak po 2 godzinach zmarł.

Jako przypuszczalnych sprawców strzału do polowego Lisa, aresztowano braci Danielskich z Bielaw i przekazano ich sędziemu śledczemu w Pleszewie.

* * *

Inny fakt w tymsamym powiecie zdarzył się w majątku Skrzypno. Stanisław Kubiak, rolnik ze wsi Piekaszew, wyszedł na kłusownictwo, również w towarzystwie dwóch innych amatorów tego procederu.

Na spostrzeżonych kłusowników właściciel polowania, p. Kirchstein, zarządził obławę, podczas której zdołano ująć tylko Kubiaka, dwaj inni zbiegli.

* * *

Niedawno w powiecie lublinieckim, kilkaset metrów od pasa granicznego z sąsiadującemi Niemcami, leśniczy H. Potempa z Kośmidrów napotkał w lesie dwóch kłusujących nieznajomych z bronią w ręku

Gdy wezwani do złożenia broni kłusownicy nie zastosowali się do tego, leśniczy wystrzelił w ich kierunku z dubeltówki, raniąc obu.

Okazało się, że kłusownikami byli bracia Jan i Paweł Kusiowie, obywatele niemieccy, stale zamieszkali w Świerku powiatu Wielkie Strzelce na Śląsku Opolskim, którzy nielegalnie przekroczyli granicę Polski w celach kłusowniczych.

Postrzelonych przewieziono do szpitala w Rybniku.

* * *

Na granicy polsko-niemieckiej, niedaleko wsi Strzebielino, powiatu morskiego nieznany sprawca zastrzelił psa, należącego do posterunku straży granicznej.

Podejrzenie padło na znanych kłusowników Franciszka Labudę i jego synów Józefa i Leona, którzy zostali aresztowani.

Podczas rewizji w domu Labudów znaleziono strzelbę, ubranie, podarte przez psa, oprócz tego zaś stwierdzono na ciele Józefa Labudy znaki ukąszeń i zadrapań przez psa, co ostatecznie ustaliło winę aresztowanych.

Właściciele łowisk! ubezpieczajcie swoją straż łowiecką na wypadek śmierci lub kalectwa w walce z kłusownictwem — jest to Waszym kardynalnym obowiązkiem.

ECHO DZIELNEGO CZYNU.

Pod wrażeniem wyjątkowo dzielnego czynu nadgajowego Brymika z ordynacji Dawidgródeckiej przy ujęciu kłusowników, którzy 6.VI b. r. ubili łosia — a mając w pamięci wierną i na niebezpieczeństwa narażoną służbę straży łowieckiej rozległych łowisk ordynacji, którym zawdzięczam wiele nigdy niezapomnianych wrażeń i emocyj myśliwskich na tokach głuszczowych— apeluję do wszystkich towarzyszy-myśliwych, którym kiedykolwiek danem było polować w ordynacji Dawidgródeckiej, aby jakąkolwiek, choćby najdrobniejszą kwotą przyczynili się do wynagrodzenia tak w służbie dla sprawy łowiectwa wyjątkowo dzielnego człowieka.

Nie wątpię, że Książę Ordynat udzieli swego placet na tę skromną nagrodę jako dowodu uznania z jednej strony, a jako zachęty do naśladowania z drugiej strony według przysłowia: „jeden dla wszystkich — wszyscy dla jednego" i przekazuję równocześnie czekiem P. K. O. skromny datek zł. 10.— na ręce Redakcji „Łowca Polskiego".

MIECZYSŁAW KRUSZEWSKI

PRZEGLĄD PRASY.

„Kwartalny biuletyn informacyjny", wydany przez delegata Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego do spraw ochrony przyrody. Kw. II — 1933 r. (10 lipca 1933 r.).

Biuletyn ten pomiędzy inną treścią zamieszcza: „Sprawy Parku Narodowego w Tatrach", „Sprawy Wielkopolskiego Parku Narodowego" i „Przepisy dla zwiedzających Park Narodowy im. Żeromskiego w Puszczy Jodłowej"; dalej — „Rezerwaty", „Pomniki przyrody", gdzie w p. 4 jest mowa o nowoodkrytych dwóch żeremiach bobrowych w gm. Holubickiej, powiatu Głębokie, na obu brzegach rzeczki Hornianki, stanowiącej granicę z Z. S. S. R.; następnie — „Z działalności Państwowej Rady Ochrony Przyrody". W dziale tym znajdujemy szereg spraw, dotyczących łowiectwa, a mianowicie: „Realizacja rezerwatu-matecznika dla zwierzyny w Karpatach wschodnich", gdzie podniesiona jest potrzeba poparcia w tej sprawie sfer łowieckich i nawołuje się do wygłoszenia ich opinji na łamach pism fachowych; „Z zebrania organizacyjnego Sekcji Ochrony Łosia przy P. Z. S. Ł. w Warszawie" i „Sprawozdanie z zebrania Oddziału Polskiego Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra".

W tym dziale znajduje się również wzmianka o tem, że specjalna Komisja Wydziału P. R. O. P. zajęła się projektem nowelizacji ustawy łowieckiej i opinję tej Komisji przedstawiono Wydziałowi Nauki Ministerstwa W. R. i O. P.

WUZET.

Z OSTATNIEJ CHWILI.

GROZA WŚCIEKLIZNY.

(zet) Dowiadujemy się, że w ostatnim tygodniu w Błoniu i jego okolicy zdarzył się szereg wypadków wścieklizny u psow wiejskich.

Wprawdzie zarządzono obławę i zastrzelono 4 psy chore, ale nie wykluczone jest, że mogły one wcześniej już udzielić zarazka innym okolicznym psom, jest zatem obawa o możliwość epidemji.

Ponieważ psy wiejskie wogóle rzadko podlegają normalnej opiece właścicieli, na pierwsze objawy ich chorób nie reaguje się odrazu, notujemy fakt powyższy ku przestrodze właścicieli psów myśliwskich ze stolicy z uwagi na rozpoczęty okres polowań.



„Lingfield Vigil", derbista Kennel Clubu 1930 r. i zdobywca 8 nagród we Francji w r. b.

„KALENDARZ MYŚLIWSKI".

Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich zawiadamia, że znajduje się w opracowaniu i wydany będzie w listopadzie b. r. „Kalendarz Myśliwski" na 1934 r., na który przyjmuje już zamówienia.

Kalendarz zawierać będzie szereg nowych, fachowych prac, pióra znanych autorów-myśliwych.

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, Wł. Korsak, St. Leski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. Nr. 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

OGŁOSZENIA DROBNE

Książki myśliwskie.

Następujące dziela są do nabycia w administracji „Łowca Polskiego":

Głuszec, monografja B. Świętorzeckiego z rysunkami Włodzimierza Korsaka — Cena 2,00 zł.

Nasze skrzydlate drapieżniki: Gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny. Monografja myśliwsko-przyrodnicza Władysława Gürtlera — 2,30 zł.

Wilk, **monografja** Bolesława Świętorzeckiego — 3.00.

Jak unikać wypadków z bronią? — Jana Szolcmana—25 gr.

Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt — d-ra Władysława Polińskiego: zesz. 1 — 1,40 zł.; zesz. 2 — 2,50 zł.; zesz. 3 — 1,20 zł.; zesz. 4 — 50 gr.; zesz. 5 — 1,00 zł.; zesz. 6 — 2,00 zł.; zesz. 7 — 2.00 zł

Jana Szolcmana: 1) „Żubr" — 3,30 zł., 2) **„Nad Niem Niebieskim"** — 6,00 zł.

W stepach i puszczach — Władysława Czerniejewskiego — 1,00 zł.

Wł. Janty Połczyńskiego: 1) „Św. Eustachy" — 3,00 zł., 2) „Polująca Pani" — 3,50 zł, 3) „Estetyka Łowiectwa" — 2,00 zł., 4) „Karczma Pod Wilkiem" zł. — 1,50., 5) „Ramoty Myśliwskie" — zł. 3.—

Obrazki Łowieckie — E. hr. Krasińskiego — 3 zł.

„O świcie" — Aleksander Janta Połczyński — 4 zł.

Kazimierza hr. Wodzickiego „Skowronek" — 3,60 zł. **„Kruk"** — 4,50 zł.

Jerzego Dylewskiego — „Lis" — monografja myśliwska—3 zł

J. W. Kobylański. „O zwierzyńcu w Katowicach" 3 zł., **„Jak powstał w Odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie"** 3 zł.; **O dawnym i obecnym zwierzyńcu w Krakowie"** 1,50, **„O zwierzyńcu w Częstochowie, Grodnie, Katowicach, Krakowie i Lesznie"** 1 zł., **„Humor i łacina myśliwska"** 1,50.

Dr K. Wróblewskiego **„Czy możliwe jest obecnie i jaką drogą odrodzić wymierającego żubra"?** — 4.60.

Za zaliczeniem najmniejsza dopłata — 1,40 zł.

Prośba o fotografje.

Redakcja „Łowca Polskiego" prosi PP. Myśliwych, posiadających ciekawe zdjęcia myśliwskie, o nadesłanie tychże Redakcji do użytku bieżącego.

Prosimy o podawanie nazwisk osób, które dokonały zdjęć, w celu zamieszczenia ich pod fotografjami.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO"

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.